

Zakamarki

Agata Araszkiewicz

Wkrótce zostanie oddana w ręce czytelników książka będąca zbiorem moich felietonów zamieszczanych w „Czasie Kultury” od 2003 roku. Jest już całkowicie ukończona i nosi tytuł *Nawiedzani przez dym*. Być może nawet, gdy piszę te słowa, jej kolejne stronicie szemrzą cichutko, wychodząc spod prasy drukarskiej. Słowem wstępu zaszczycił mnie mój redaktor naczelny Marek Wasilewski – wielki to dla mnie honor ze względu na profesjonalną i koleżeńską sympatię. Niedawno dostałam do ostatecznego przejrzania jej ostatni skład.

Komunikując tę szczególną wiadomość, równocześnie będę musiała uchylić rąbka tajemnicy. Chcę bowiem nawiązać do paru pierwszych słów tego wstępu. Oczywiście korpus tekstu znałam wcześniej, jednak w ostatnich czasach Marek pod wpływem jakiejś lektury przereda-

gował jego początek poniekąd jako niespodziankę, bonus, prezent, co oznajmił mi tajemniczym, podekscytowanym głosem. Z nie mniejszą ekscytacją i niecierpliwością rzuciłam się na pierwsze nowe słowa wstępu. Przeczytałam w nich o pewnej egzorcyście (i tu niestety muszę zdradzić nieco więcej – niech mi nieba wybaczą!), która na co dzień obcuje z fenomenem nawiedzania... przez duchy. Jest ona pewna fizycznej dosłowności tego zjawiska – nawiedzanie przychodzi i odchodzi, kiedy chce, dewastując okupowaną osobę, jego obecność ma charakter prawie namacalny, a przynajmniej jako taki odczuwalny jest w psychice. Jedną z jej klientek jest kobieta, która zdecydowała się przyjść po 17 latach upokorzeń i cierpień z powodu nawiedzania przez... ducha ojca, który molestował ją w dzieciństwie, a później gwałcił co noc, sprowadzając jeszcze innych mężczyzn.

Nawiedzanie często się odnosi do czegoś traumatycznego, jest opowieścią o traumie, a właściwie o niemożności wyjścia z trudnego przeżycia, urazu, poczucia niemocy i winy. Marek – przechodząc dalej do analizy, co oznacza moje bardziej metaforyczne „nawiedzanie przez dym” – tak skomentował przytoczoną historię: „Ta postać ojca gwałcącego córkę jest wymarzoną figurą dla Agaty Araszkiewicz”.

Zimny pot, dreszcze i skóra, która jeży się na głowie – tak pokrótce mogę opisać stan, w jakim się znalazłam: poczucia bycia podejrzaną i przemieszczoną, totalnie niepewną siebie. W popłochu straciłam oddech. Gdy go odzyskałam, roztrzęsiona zadzwoniłam do mojego szefa. Tak wyglądała nasza rozmowa:

Ja: Marku, proszę cię, przeczytałam nowy początek wstępu i wszystko dobrze, ten egzorcyzm, ale ja nie mogę marzyć o gwałcącym ojcu! Marku, ja prostu... zostałam kiedyś zgwałcona!...

Marek Wasilewski: ...Och, to przepraszam... jak to możliwe?... Och, rzeczywiście niefortunnie musiało to zabrzmieć!!! Nie miałem pojęcia... Oczywiście to zmienię, ale wiesz, o co mi chodziło!

Ja: Jasne, ale ta dosłowność... ja poczułam zimny oddech na karku i paniczny lęk... oraz strasznie podejrzliwy wewnętrzny głos zaczął mi mówić: „Skąd ty to wiesz? Czy chcesz mnie za coś ukarać?”...

I tak naprawdę pomyślałam: „JAK MAM SIĘ UKRYĆ?...”. Udam, że to nie ja, że to nie o mnie są te słowa i że nie jest prawdą to, iż od tamtej chwili czuję, jakby mnie gwałcił każdy gwałciciel i każdy gwałt odnosił się do mnie, namacalnie, boleśnie, właśnie tutaj i teraz... Za każdym razem od nowa.

Tymczasem mówiłam dalej:

Ja: Gdyż to, co napisałaś, tak bardzo obnaża mój największy lęk, zwłaszcza że tak długo miałam to nieuświadomione, mój mózg wykasał to, co się tak naprawdę zdarzyło, nigdy o tym właściwie nie napisałam... („Choć ciągle boję się ciemności” – myślałam...)

Marek: No to może teraz jest okazja?...

Mój redaktor naczelny zamienił zdanie w swoim tekście na nowe, które brzmi mniej więcej tak: „Ta figura nawiedzającego ojca-gwałciciela symbolizująca dominującą kulturę patriarchalną to idealny motyw do dekonstrukcji i deszyfracji, jakiej przenikliwie podejmuje się autorka” (jeśli jako czytelnicy książki znajdziecie ten fragment, to z pewnością przypomni się Wam jego historia...). I w tym zdaniu czuję się bardziej uzbrojona i bardziej podmiotowa, z tym zdaniem jestem spokojna.

Głupotą byłoby uważać, że przemoc nie istnieje, jednak zupełnie czymś innym jest móc ustosunkować się do niej nie w panicznej bez-

radności, ale z narzędziami pewnej analizy, które mogą ją rozbroić jak bombę. Bez wątplenia moja intelektualna edukacja pozwoliła mi lepiej się odnieść do przeżytej traumy (a poświęciłam jej sporą część mojej terapii psychoanalitycznej, jak i kursy samoobrony dla kobiet wendo).

Było to pewnego letniego wieczoru, kiedy jako bardzo młoda kobieta wracałam do domu po przedłużającej się lekcji języka angielskiego. Uciekł mi ostatni autobus, więc stałam na oddalonym przystanku, ale jednak w centrum miasta. Podjechał samochód, a w nim mężczyzna: młody, ale znacznie starszy ode mnie, zaczął ze mną miło rozmawiać. Początkowo go ignorowałam, w niejasny sposób czując się winna, że odpowiadam gruboskórnym na czyjąś uprzejmość. Rozmowa była długa, częstował mnie ciasteczkami i opowiadał o swojej siostrze, że jest w tym samym co ja wieku i że się boi o jej bezpieczeństwo. Autobus długo nie nadjeżdżał, a on, pokazując mi swój dowód tożsamości, którego uprzejmie nie przewertowałam, zaproponował, że mnie podwiezie.

Wsiadłam do tego samochodu z ociąganiem, na zasadzie spontanicznej solidarnej grzeczności, która na górskim szlaku każe mówić wszystkim napotkanym osobom: „ahoj!”. Dżungla miejska i jej padół nie mają jednak nic wspólnego z trasami wysokogórkimi, gdzie docierają tylko zawołani amatorzy. Szybko się okazało, że mój przewoźnik, zamykając szczerze wszystkie drzwi, podgłaśniając muzykę i raźnie kierując się poza miasto, ma zamiary niekoniecznie ograniczające się do miłego oddania przysługi. Moje wychowanie, w którym była mowa o nieufności wobec obcych, nie przygotowało mnie explicite do takiej sytuacji, miałam wtedy w sobie jeszcze trochę dziecinnej karność wobec starszych.

Znaleźliśmy się poza miastem na uboczu jakiejś polnej drogi i tam mój agresor, używając różnych technik przemocy (gdym udało mi się wyswobodzić z samochodu i zacząć uciekać, po prostu chwycił mnie i wsadził do środka...), niedwuznacznie dał do zrozumienia, jakie są jego oczekiwania. Będąc w pozaludzkiem stanie strachu, bezwiednie powtarzałam jakąś mantrę odmowy, czując w sobie jednak skrajny opór. Mężczyzna, argumentując, że „nie jest żadnym gwałtciwem”, wyjaśnił, iż zadowolony się „manualnym seksem”. Z tego wszystkiego pamiętam tylko ogromny, ciężki, wiszący nad polami księżyc, w który się wpatrywałam, jakbym była indiańską kapłanką. Potem wyraźnie odprężony zapytał, gdzie mnie odwiedzić. Wskazałam adres dość odległy od mojego domu, ale stosunkowo bliski, aby przejść na piechotę. Po drodze odwiedziłam mieszkającego po sąsiedzku serdecznego przyjaciela. Pamiętam wyraz trwogi i bezradności na jego twarzy. Wzięłam długi prysznic i, patrząc ciągle przez okno własnego mieszkania na patrolującą mi nieustannie księżyc, zasnęłam.

Przez lata nie opowiadałam tej historii. Zwieryłam się z niej wtedy moim najbliższym przyjaciółkom, które były nie mniej bezradne niż ja, i mojemu nauczycielowi akademickiemu, do którego miałam zaufanie. Ze wszystkich tych rozmów wynikało jasno, że właściwie nie wiadomo, co się zdarzyło i w jakim porządku to opowiedzieć. Mimo okazania dowodu nie pamiętałam ani nazwiska mężczyzny, ani rejestracji, ani nawet typu samochodu. Nie potrafiłam wytłumaczyć, dlaczego wsiadłam do tego samochodu i jak określić rodzaj pertraktacji, która miała miejsce u kresu podróży. Odradzano mi absolutnie pójść na policję.

Przez lata żyłam w przekonaniu, że tak naprawdę nic takiego się nie stało. Owszem, nabrałam dziwnych lękowych odruchów, takich jak na-

głe uciekanie w metrze przed wymyślnym śledzącym mnie mężczyzną, niewsiadanie do windy z nikim obcym, nagła zmiana zachowania wobec „podejrzonej sytuacji” (wybieganie z kawiarni, uciekanie przed goniącym mnie rzekomo samochodem). Lęk dławiał mnie coraz bardziej i ciągle narastał. Poszłam w końcu na długą terapię, pomogły mi kursy kobiecej asertywności. Minęło sporo czasu i wiele lat pracy psychoanalitycznej, kiedy podczas jednych wakacji, leżąc na plaży w Portugalii i czytając książkę Clarissy Pinkoli Estes Tańcząca z wilkami, nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, nagle wstałam i powiedziałam do mojego męża: „Przecież ja zostałam zgwałcona”. On, znając historię z mojej opowieści, z pełnym zaskoczeniem zapytał: „To nie wiedziałaś?” ...

Potrzebowałam prawie 10 lat, żeby zrozumieć, co przeżyłam. Mój umysł starannie zepchnął całe doświadczenie w najbardziej skryte zakamarki. I stamtąd właśnie promieniowało ono wyrazistą mocą. Mój gwałt nie wydawał mi się prawdziwy. Ale właściwie który miałby być prawdziwszy? Gwałt wojenny? Gwałt zbiorowy? Im bardziej okrutne są realia tego doświadczenia, tym bardziej wydaje się ono nierealne i wyalienowane. Przemoc wobec kobiet, mimo że tak wiele się zmienia, nadal pozostaje białą plamą na mapie naszej wiedzy i wyobraźni, bezludną wyspą skrajnego poczucia separacji i opuszczenia.

Jedną z cech traumy jest to, że nigdy się nie kończy. Jej „wieczne teraz” daje o sobie znać w rozmaitych momentach. Po „uświadczeniu” miałam fazę „konfrontacji”. I to nie tylko z samą sobą, lecz także z innymi. Przez jakiś czas nie było spotkania, kolacji, lunchu, żeby nie dołała wtrącić: „zostałam kiedyś zgwałcona”... Na twarzach ludzi malowały się przestraszenie i poczucie niestosowności. Nie wiadomo, jak przyjąć takie wyznania, nie ma miejsca

na takie opowieści. Wszystko wydaje się przemieszczone.

W tym samym mniej więcej okresie poznałam debiutującego wtedy pisarza z Krakowa (który tymczasem stał się warszawskim poetą) Adama Wiedemanna. Pamiętam naszą rozmowę o transgresji w literaturze i moje perswazje pod wpływem doktoranckich zajęć z feministycznej jursprudencej prawnej z profesor Eleonorą Zielińską (interesowałam się potem prawnym i socjologicznym dyskursem przemocy wobec kobiet), dotyczące tego, że prawidłowy termin na opisanie seksualnej przemocy to „zwałcenie”. „Gwałt” jest zbyt ogólny, bezpodmiotowy, zbanalizowany i znaturalizowany. „Zwałcenie” odsyła do samego aktu, za którym stoją sprawca i ofiara. Mówiłam do Wiedemanna, że nie wiem, jak powinien wyglądać w literaturze opis doświadczenia zwałcenia, który by nie był powieleniem przemocy. To byłaby transgresja, zdolna naprawdę wzbudzić mój największy szacunek. Przez lata rzadko się widywaliśmy, ale za każdym razem wrażliwy i pamiętający Adam wykrzykiwał nawet w miejscach publicznych: „O! Agata Araszkiewicz! Zwałcenie!...”. Z jednej strony, doceniałam ze wzruszeniem czuła i nieco humorystyczną pamięć mego przyjaciela, ale z drugiej – przeżywałam za każdym razem rozdarcie, czując, że trauma otwiera się od nowa, stygmatyzuje mnie i zamyka, nawet jeśli nikt o tym nie wie.

Zakamarki naszego mózgu są zbyt przepastne, zbyt ciasno zaludnione. Jeśli chodzi o przemoc wobec kobiet, to ciągle w potocznym dyskursie (nie mówię już o polskich standardach prawnych) dominują stereotypy i niedwuznaczne aluzje. Strój i zachowanie kobiet podlegają ciągle większej ekspozycji, paradoksalnie kontrolowanej bardziej niż przyzwolenie na seksualną ekspresję mężczyzn. Zarówno dyskurs publiczny, jak i kolokwialne przypad-

kowe wypowiedzi, dotyczące choćby słynnych afer (Clintona, Polańskiego, Dominiqueia Strauss-Khana), stygmatyzują i zawsze cenzurują kobiety.

I właśnie taki lapsus, „zakamarek”, przemówił głosem mojego redaktora naczelnego. Język jest też rodzajem „mózgu”, centralnego kodu, który marginalizując swoje zakamarki, daje im jednak upust w przypadkowych potknięciach. Język nami mówi, a właściwie mówi tym, co wytłumione i wyparte. Ambiwalentne doświadczenie przemocy powoduje, że nawet przyjazny głos przyłącza się do chóru oprawców. Trudna natura przeżytej traumy w najbardziej nieoczekiwanych momentach ujawnia swoją niby to ujarzmioną moc. Przemieszcza, zostawia w popłochu, znaczy mapę przeżyć i trajektorię uczuć na stałe. Moim zdaniem, nie sposób się jej pozbyć, zostawić w tyle, poza sobą, rozbrojoną i nieistotną. Przemoc ma właśnie to do siebie, że trwa „zawsze”, nawet długo po tym, jak się wydarzyła.

Pamiętam nagły atak lęku po tym, jak urodziłam moją córeczkę. Że ona także będzie musiała przez to przejść, że będzie musiała – nawet jeśli tylko (gdy będzie miała szczęście!...) w sposób pośredni, nie dosłowny – skonfrontować się z lękiem o własną integralność, związanym z jej seksualnością. I nawet jeśli chłopcy w żadnym wypadku nie są od tego niebezpieczeństwa całkowicie uwolnieni, to dla dziewczynek ma to charakter dużo bardziej stygmatyzujący. Wyraziście uzmysławia im kruchość ich społecznej pozycji, ustawiczną ekspozycję na „nieprzezroczyste”, seksualnie nacechowane ataki. Dzieje się tak dlatego, że nasze społeczeństwa ciągle zbudowane są wedle zasady przyznawania kobietom drugiej kategorii, fundując tym samym jawne, domyśle lub skryte przyzwolenie na przemoc wobec nich.

Wydałam z siebie na świat byt, który nie jest na to gotów, który będzie w nieuzasadniony sposób świadomie lub nie zmierzał do okaleczenia go z powodu stereotypów płciowych. Lecz tak jak większość z nich potrafię traktować jako wyznanie, to w wypadku przemocy seksualnej czuję się bezradna jak małe dziecko. Pierwsze dni po porodzie leżałam w szpitalu struchlała ze strachu, a stres porodowy nakładał się na stres poprzemocowy. Bez wątpienia przeżywałam swoją bezradność jako skrajne poczucie winy wobec małej istoty, której nie będę potrafiła ochronić przed tym, znanym mi jako straszne, doświadczeniem. Do dzisiaj nie znam wyjścia z tej sytuacji.

Mimo że na świecie wiele się w tej sprawie zmieniło, przemoc wobec kobiet jest stałą komponentą porządków symbolicznych i społecznych uprzywilejowujących mężczyzn. Jej instytucjonalizację potwierdzają wszelkie okresy zerwania ciągu długiego trwania, wszelkie społeczne „momenty wybuchowe”, takie jak wojny, rewolucje, czasy, gdy zawieszona zostaje tradycyjne prawo. Przemoc wobec kobiet pojawia się wtedy najczęściej w postaci ogołoconej i brutalnej, a przede wszystkim instytucjonalnie głęboko wpisanej w społeczny układ. Jej „spontaniczna odruchowość” potwierdza prawo działania mechanizmu przemocy w przemocy; jej eskalacja jest tak oczywista, jak rzekomo nieoczywiste jest jej codziennie istnienie.

Jeśli chodzi o przemoc wobec mężczyzn, zwłaszcza wojenną, to trzeba przyznać, że jej nieuchronnie opresyjny charakter znajduje swoje zadośćuczynienie w gloryfikowaniu wojennego męstwa i przelanej w boju krwi. Jeśli chodzi o eskalację przemocy seksualnej wobec kobiet podczas wojny, to często pozostaje ona jeszcze bardziej wyparta i wytlumiona niż za czasów pokoju. Przypominają mi się Świe-

że wiśnie (2010), jedna z ostatnich prac wideo Anny Baumgart, która posługując się intrygującym splotem konwencji, w błyskotliwy i przejmujący sposób uchwyciła naturę problemu (pisząc te słowa, myślami ciągle wracałam do tego filmu). Film przywołuje świadectwa kobiet-więźniarek zmuszanych do przymusowej pracy związanej ze świadczeniem usług seksualnych w burdelach w nazistowskich obozach pracy na terenie Norwegii. Kobietom tym w momencie zatrzymania proponowano alternatywę zostania zwykłą więźniarką lub więźniarką „burdelową”, której przysługiwała seria przywilejów. Ten pozorny „wybór” powodował, że po zakończeniu wojny doświadczenie seksualnej przemocy, którym w istocie była praca w obozowym burdelu, rozmywane było przez poczucie winy kobiet i ogólną społeczno-historyczną cenzurę. Większość więźniarek milczała przez długie lata i zabrała swoje tajemnice do grobu. Nieliczne, które dożyły późnej starości, upubliczniły swoje świadectwo dopiero w latach 90. ubiegłego wieku. Bardzo trudno było spowodować, by zaczęły mówić. Zinternalizowane wyparcie, które jest przecież społecznie dopuszczalnym elementem opresji kobiet, wystąpiło tu pod postacią ochrony własnej integralności i godności. Ten perwersyjny splot najlepiej oddaje złożony charakter seksualnej przemocy.

Jedno pytanie pozostaje zawsze aktualne: jak mówić o tym doświadczeniu w sposób pozwalający uniknąć powtórzenia przemocy? I właśnie Baumgart, jak mało kto, znalazła jedną z odpowiedzi na to pytanie. Krzyżując rozmaite konwencje stylizacyjne, przywołuje wojenne kobiece świadectwa w formie teatralnego dramatu studyjnego, by zaraz potem odpowiedzieć na to większą grupową sceną niemniej steatralizowanej terapii hilingerowskiej. Owo „poznanie i terapia” powoduje, że poznajemy te świadectwa w ich mocy nie tylko ujawniania

skrajnego, stłumionego cierpienia, ale także w ich sile oczyszczającej. Oczyszczającej nie tylko sumienie i wyobraźnię kobiet – ofiar przemocy, ale przede wszystkim ogólną winę społeczno-historycznego stłumienia. Film, z jednej strony, egzorcyzuje podwójne cierpienie kobiet: to pierwsze jako ofiar przemocy i to drugie jako ofiar milczenia. Z drugiej strony, jest rodzajem wytoczenia procesu sposobowi mówienia o historii – scena terapii zamienia się w publiczne oskarżenie majestatu pełnego „zakamarków” społecznego dyskursu.

O wojennej przemocy wobec kobiet jako o przemocy zaczęliśmy mówić od czasu wojny na Bałkanach, gdzie gwałt był narzędziem czystek etnicznych i uznano go a posteriori za element wojennej tortury. W piśmiennictwie fachowym wpłynęło to także na sposób traktowania cywilnych zgwałceń. Dziś się uważa, że gwałt nie tyle jest zbrodnią na tle seksualnym, ile przestępstwem dokonywanym w celu znęcania się nad drugą istotą dla podtrzymania poczucia własnej dominacji. Odniesienie do społecznej hierarchii seksualnej jest tu więc wtórne i przypadkowe, choć sam fakt istnienia seksualnej hierarchii zakłada możliwość występowania potwierdzającej go przemocy i jej sprzyja.

Bardzo chciałam zobaczyć film Baumgart, ale pamiętam swój paniczny lęk, jaki odczuwałam podczas jego projekcji (nie potrafię czytać powieści ani oglądać filmów opowiadających o gwałcie). Przez cały czas chciałam uciec, podobnie jak doznaję przejmującej chęci ucieczki podczas pisania tego tekstu. Upływ lat niewiele zmienia, bolesność problemu pozostaje, może jedynie przykrywana coraz bardziej nużącym poczuciem lęku (i stale mu towarzyszącej chęci ucieczki). Anna Baumgart po zakończeniu naszej wspólnej publicznej dyskusji nad jej filmem powiedziała mi, że miałam straszną minę i była pewna, że jej film

mi się nie podobał. Zastanawiałam się chwilę, ale co miałam jej odpowiedzieć? Że przed laty mężczyzna, który zamienił się w napastnika, spowodował, iż zaczęłam krzyczeć: „Ale ja nie jestem kobietą!”. Byłam bardzo młoda i całe wcześniejsze życie podczas całej mojej edukacji uważałam się (by przeżyć?) za wykastrowany z kobiecości uniwersalny podmiot. Ta nagła przymusowa (społecznie normalizująca i dyscyplinująca mnie) konfrontacja zdarła mi łuski z oczu. Od tamtej pory wiem, że kobiecość to moja kondycja będąca ekspozycją na możliwe większe upokorzenia i ból związany z odniesieniem do płci. Ale także od tamtej pory nie przestałam uciekać w sobie od silniejszej ciągle ode mnie stałej chęci od tej kondycji ucieczki. ●